

# Biuletyn Instytutu Zachodniego

## Rosjo, miej się na baczności

### Ameryka wraca!



**Nr 164/2014**  
**06'06'14**

**INSTYTUT ZACHODNI**  
*im. Zygmunta*  
*Wojciechowskiego*  
Poznań

*Autor:*

**Jadwiga Kiwerska**

*Redakcja:*

**Marta Götz**

**Radosław Grodzki**

**Krzysztof Malinowski**

*Korekta:*

**Hanna Różanek**

Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że podczas pobytu Baracka Obamy w Warszawie 3 i 4 czerwca 2014 r. zobaczyliśmy nową twarz amerykańskiej administracji. Jakkolwiek możemy odnosić się tylko do słów i gestów amerykańskiego prezydenta, to jednak swoim tonem i natężeniem odbiegają one daleko od tego, co zwykle się jeszcze niedawno utożsamiać z linią polityczną Obamy, zwłaszcza w kwestiach międzynarodowych, gdzie wiele było wahań i braku decyzji, natomiast – mało skuteczności i konsekwencji. Nie bez powodu i nie bez racji mówiono ostatnio o słabnącej pozycji i randze Stanów Zjednoczonych w świecie.

Ta nadwerężona rola Ameryki na arenie międzynarodowej była w dużej mierze spuścizną odziedziczoną po administracji George'a W. Busha, która działając często w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi zasadami, doprowadziła do pogorszenia relacji USA nawet z jej bliskimi partnerami i sojusznikami, a w efekcie do spadku uznania i sympatii dla Ameryki. Jednak prezydent Obama – zdecydowanie odchodząc od tamtego siłowego i aroganckiego stylu uprawiania polityki oraz proponując własny, w którym szczególny nacisk położono na działania dyplomatyczne – nie zdołał tego procesu powstrzymać. Co więcej, Ameryka traciła rangę lidera świata zachodniego.

Polityka czystej dyplomacji, ukazywania przede wszystkim łagodniejszej twarzy Ameryki nie wpływała dobrze na skuteczność USA, nie wzmacniała też ich rangi w świecie.

Nie negując znaczenia zmiany wizerunku Ameryki – co było niezbędne jako punkt wyjścia po erze Busha – trzeba jednak podkreślić, że od Stanów Zjednoczonych, które wprawdzie zatraciły już rangę hegemonu, ale utrzymały atrybuty supermocarstwa, wymagać należało większej skuteczności, determinacji i odwagi w działaniu. Tym bardziej że Ameryka musiała teraz funkcjonować w świecie zróżnicowanych i silnie ze sobą, a przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi konkurujących potęg, gdzie liczy się nie tylko dyplomacja oraz negocjacje, ale i potencjał oraz wola działania.

Tymczasem mówienie o „łagodzącym wpływie pokory i powściągliwości” być może miało swój powab w zestawieniu ze stylem działań administracji Busha, ale na dłuższą metę nie służyło odbudowie pozycji lidera. Także „resetowanie” stosunków z Rosją, jakkolwiek zrozumiałe i nawet potrzebne, zważywszy choćby konieczność układania się z Moskwą w sprawie traktatu *START* zmniejszającego limit głowic jądrowych, także transportów do Afganistanu, a potem w kwestii Syrii, to jednak przekroczyło ono pewną niebezpieczną linię. Efektem bowiem była choćby rezygnacja administracji Obamy z realizacji pierwotnej wersji „tarczy antyrakietowej” w Polsce i Czechach, a także dwuznaczna, poufna wymiana zdań między Obamą a rosyjskim prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem w marcu 2012 r., dowodząca jak bardzo Biały Dom liczy się z punktem widzenia Moskwy. Takie gesty i działania Obamy rodziły wśród państw środkowej i wschodniej Europy smutną refleksję o wadze naszych akcji nad Potomkiem oraz o wiarygodności Ameryki.

*Last but not least*, skoncentrowanie uwagi administracji Obamy na Dalekim Wschodzie, okrzyknięte hasłem *pivot to the Pacific Rim*, groziło dalszym osłabieniem więzi Ameryki z Europą i jej dotychczas najbliższymi sojusznikami oraz partnerami. Zwłaszcza że administracja Obamy ogłosiła pod koniec 2011 r. redukcję amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, a także zapowiedziała drastyczne cięcia wydatków na obronę w ciągu najbliższej dekady. Pytaniem retorycznym jest w tej sytuacji to, czy taki kurs polityczny Waszyngtonu nie stanowił czynnika wzmacniającego imperialistyczne aspiracje Władimira Putina, który mógł liczyć na bezkarność w swoich działaniach wobec Ukrainy.

Z tej perspektywy ostatnie posunięcia Białego Domu w odpowiedzi na agresywne działania Rosji na Ukrainie, a przede wszystkim słowa prezydenta Obamy w Warszawie dowodziły, że jego administracja jest zdeterminowana utrzymać/odzyskać rangę przywódcy w świecie wolnych państw i narodów. Jest też gotowa podejmować działania, które jej rangę i prestiż na arenie międzynarodowej ugruntują. Tak między innymi należy rozumieć słowa o NATO jako „najsilniejszym



sojuszu na świecie” i „siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki, najmocniejszej armii w historii świata”.

Także stwierdzenia odwołujące się do tradycyjnego amerykańskiego posłannictwa, czyli obowiązku krzewienia wolności i budowy demokracji w świecie, niosły w sobie potwierdzenie woli przewodzenia na arenie międzynarodowej. Amerykański prezydent mówił: „(...) jako wolne narody łączymy się po prostu nie po to, aby pilnować swojego własnego bezpieczeństwa, ale też pomagać w osiągnięciu wolności innym. Dzisiaj raz jeszcze potwierdzamy zasady, o które walczyliśmy. Stoimy ramię w ramię, bo wierzymy, że ludzie i narody mają prawa do określania swojego własnego przeznaczenia”. I odnosząc się do Ukrainy przekonywał: „Stoimy razem, bo wierzymy, że walka o pokój i bezpieczeństwo jest odpowiedzialnością każdego narodu”. (...) Nasze wolne narody nie mogą być obojętne w walce o Europę jedną, wolną i w pokoju (...), musimy stać ramię w ramię z tymi, którzy chcą wolności”.

W tych fragmentach nieodległym echem brzmią hasła, które już kiedyś poprzedni prezydent Stanów Zjednoczonych zawarł w tzw. doktrynie Busha. Mowa tam była o obowiązku Ameryki prowadzenia innych narodów ku „jednemu trwałemu modelowi narodowego sukcesu” i że „żaden naród nie może być wyłączony z dążenia do życia w wolności i sprawiedliwości”. Notabene zupełnie inaczej kwestię promowania i obrony w świecie wolności i demokratycznych zasad widziała administracja Obamy kilka lat temu, gdy to w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego dowodziła, że najlepszą drogą obrony i promowania wartości jest przestrzeganie ich we własnym kraju. I tylko tyle. To pokazuje skalę zmiany, jaka dokonała się w podejściu prezydenta Obamy do amerykańskiej odpowiedzialności na arenie międzynarodowej.

Przede wszystkim jednak amerykański prezydent przyjechał do Polski z mocnym przesłaniem o znaczeniu silnych związków militarnych i politycznych między Ameryką a jej europejskimi sojusznikami. Nastąpiło więc odwołanie do *hard power* jako ważnego argumentu na arenie międzynarodowej. A za takie stawianie spraw w działaniach zewnętrznych krytykowany był swego czasu prezydent Bush, także przez obecnego gospodarza Białego Domu. Tymczasem to Obama zapowiedział rozszerzenie amerykańskiej obecności militarnej w Europie, choćby obiecując wzmocnienie wschodniej flanki NATO sumą 1 mld dol., a także deklarując wolę zwiększenia liczby żołnierzy i sprzętu Stanów Zjednoczonych/NATO w naszej części kontynentu.

Zresztą to bezprecedensowe podkreślenie odpowiedzialności Ameryki za bezpieczeństwo Europy Środkowej i Wschodniej należy uznać za fakt znaczący,



szczególnie na tle owych przykrych doświadczeń z administracją Obamy, która zdawała się eliminować tę część kontynentu europejskiego z listy priorytetów amerykańskich. Tym razem słyszeliśmy nie tylko o tym, że Europa Środkowa jest kamieniem węgielnym bezpieczeństwa USA, ale też o wadze i znaczeniu art. 5 traktatu waszyngtońskiego oraz deklarację jego zastosowania w razie potrzeby: „Artykuł 5 jest jasny, atak na jednego jest atakiem na wszystkich, jako sojusznicy mamy święty obowiązek bronięcia waszej integralności terytorialnej. Stoimy ramię w ramię, teraz i zawsze, za wolność waszą i naszą” – mówił amerykański prezydent, zwracając się na Placu Zamkowym do Polaków. Kwestia „wzajemnej obrony” i związanych z tym planów ewentualnościowych kilkakrotnie wracała podczas pobytu Obamy w Polsce, jasno dowodząc, że Stany Zjednoczone są gotowe dotrzymać gwarancji wynikających z art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

Najsilniej podczas pobytu amerykańskiego przywódcy w Polsce zabrzmiały słowa odnoszące się do Rosji. Można było nawet odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z „resetem” à rebours. Ostre sformułowania mówiące o „agresji Rosji na Ukrainie”, zapowiadające, że „nie akceptujemy okupacji Krymu czy też naruszenia suwerenności Ukrainy”, ostrzegające, że dalsze rosyjskie prowokacje będą „oznaczały tylko i wyłącznie więcej izolacji i kosztów dla Rosji”, gdyż „większe narody nie mogą zastraszać mniejszych czy też siłą narzucać swojej woli”, przywodziły na myśl mocne wypowiedzi nie tylko prezydenta Busha, ale też amerykańskich polityków z czasów zimnej wojny. I być może dla niektórych były to stwierdzenia bez wystarczającej siły rażenia lub wręcz miałki, to jednak trudno nie przyznać, że taka retoryka służyła kreowaniu amerykańskiego prezydenta na silnego i zdecydowanego lidera wolnego świata. Zwłaszcza że słowa te z pasją i przekonaniem wygłosił Obama, oskarżany o rezygnację z przywódczej roli na arenie międzynarodowej.

I mimo że nadal pytaniem pozostało, jaką moc sprawczą będą miały ostre frazy prezydenta Obamy, to jednak dobrze, że padły. Przynajmniej wskazują kierunek, w którym zamierza podążać obecna administracja. W polityce zagranicznej wraca ona do bardziej skutecznego, a na pewno odpowiadającego randze i zobowiązaniom amerykańskiego supermocarstwa stylu działania. Czy będzie to miało wpływ na zachowanie Putina – też trudno przesądzić. Wiele zależy będzie od tego, czy Europa okaże się solidarnym i odpowiedzialnym partnerem Ameryki w tej nowej rozgrywce o utrzymanie stabilizacji i zachowanie pokoju na naszym kontynencie, a przede wszystkim o pozytywne rozstrzygnięcie losów Ukrainy. Zresztą amerykański prezydent ponowił swój apel do partnerów europejskich, przypominając: „Każdy członek NATO



chroniony jest przez nasz Sojusz i każdy z nich musi wykonać swoje zobowiązania w ramach tego sojuszu. Jest to nasza odpowiedzialność wobec siebie nawzajem”.

Tak więc *summa summarum* ruch należy teraz do Europy. W każdym razie zapowiedź prezydenta Bronisława Komorowskiego o zwiększeniu nakładów na obronność do 2 proc. PKB zdaje się potwierdzać, że Polska swoje zadanie wykona. Jeśli większość sojuszników europejskich w tej i innych sprawach wykaże się podobną gotowością do podejmowania wyzwań i ponoszenia niezbędnych kosztów, to nie tylko spełni oczekiwania Waszyngtonu, ale przede wszystkim przyczyni się do przywrócenia układowi transatlantyckiemu skuteczności i rangi. A wtedy – Rosjo, zanim podejmiesz kolejny krok, będziesz musiała na nowo skalkulować swoje „za i przeciw”.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

**Jadwiga Kiwerska** – prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

